



Mirosław Derecki

OSOBOWOŚĆ I HISTORIA

ROZMOWA Z PROF.DR HAB. ZYGMUNTEM MAŃKOWSKIM

- Wydajesz mi się zawsze rdzennym lublinianinem, człowiekiem wtopionym „od zarania” w pejzaż tego miasta, jego środowiska kulturalnego i naukowego, a przecież pochodzisz z zupełnie innych stron. Powiedz, ile to już właściwie lat „stuknęło” ci w Lublinie?

- Niestety, ponad trzydzieści! Mówiąc ściślej: przyjechałem tutaj w 1945 r., w październiku, skierowany do UMCS na stanowisko adiunkta w Katedrze Historii Polski, kierowanej wówczas przez prof. Kazimierza Myślińskiego... Nawiasem mówiąc ten właśnie epizod swojego życia, pierwsze lata pobytu w Lublinie, opisałem nie tak dawno temu na łamach „Kamery” [w numerze 20 z 5 października 1986 r. - przyp. red.] we wspomnieniu „Okolice Października '56”. Nadtytuł owego wspomnianego artykułu brzmiał: „Drożdże lubelskiej kultury”. A to dlatego, że od razu wówczas, po swoim przyjeździe do Lublina, wszedłem tutaj w krąg ludzi, którzy byli istotnym zaczynem głębokich przemian kulturalnych, jakim ulegało to miasto pod wpływem „odwilży”. Były to czasy „burzy i naporu”...

- Minęło lat trzydzieści z okładem, Październik 1956 roku to już de facto historia, ludzie się postarzel, inni po prostu zmęczeni. A ty wciąż jesteś w doskonałej kondycji fizycznej i psychicznej...

- A tak! I zaraz ci to wytłumaczę. Ja mam,] bowiem osobowość, którą psychologowie określają, jako „altruistyczną”. Polega to na tym, że nikomu niczego nie zazdroszczę, żyję „spolegliwie”, a nawet swoich wrogów traktuję wysoce wyrozumiale, tłumacząc ich agresywność np. trudnym dzieciństwem, kodem genetycznym itp. Otóż każdy lekarz ci powie, że powodem wielu chorób jest brak akceptacji siebie samego i związana z tym nienawiść i agresywność wobec innych, a to tworzy daleko posuniętą neurozę, niszczącą – o ironio! – własny organizm. Tak więc „altruistyczna” postawa pozwala nie dać się zniszczyć, mimo wszelakich intryg, donosów, prób deprecjacji. Po prostu jestem ponad to wszystko i staram się realizować życie zgodne ze swoją własną etykietą, temperamentem itp. Dodajmy,

że taka właśnie postawa skłania do działań bezinteresownych, społecznikowskich; a to znowu stanowi rodzaj remedium, łagodzącego nieuchronne codzienne przykrości związane z życiem człowieka.

- Czy to znaczy, że twoje życie w sumie było - jak dotąd - udane i szczęśliwie przebiegało?

- O, nie! Może na to nie wyglądam, ale nim przybyłem do Lublina, nim okrzepłem psychicznie, przeżyłem wiele „plag”; wczesne sieroctwo, ciężką, ponad siły pracę fizyczną (pracowałem jako robotnik kopiący torf, robotnik leśny, w magazynie też jako robotnik, wreszcie pracowałem także na roli). A wszystko to w wieku zaledwie lat kilkunastu. Kilka razy śmierć była tak blisko mnie, że odczuwałem jej oddech.

- Aż tak?

- Tak. Na przykład w czasie napadu UPA na Sokal, gdzie mieszkałem w lutym 1944 r. A także po pobycie (kilkudniowym) w więzieniu gestapo w Sokalu, gdzie nabawiłem się ciężkiego zapalenia płuc. Albo już po wojnie, koło Jeleniej Góry, gdy zostałem ostrzelany, choć na szczęście nie trafiony, będąc „pionierem Ziem Zachodnich”. Znalazłoby się i więcej takich momentów...

- I co, twój charakter oraz filozofia życiowa kazały ci przejść nad tym wszystkim tak pogodnie?

- Oczywiście. Bo w życiu staram się niczemu nie dziwić, nie dać się zaskoczyć, wszystko zrozumieć. Recepta na życie w dobrej kondycji psychicznej (ale także fizycznej) wydają się więc prosta - utrzymywać pogodę ducha, akceptować siebie i otaczający świat, polubić prace, mieć wyrozumiałość dla ludzi złych no i trzymać się takiej oto maksymy życiowej: „zrób w życiu to, na co cię stać... i jeszcze trochę więcej”.

- Wróćmy do konkretów lubelskich. Osiągnąłeś tu przecież wiele w dziedzinie naukowej, że wspomnę choćby o twoich książkach dotyczących historii najnowszej, które otrzymały wręcz lawinę nagród krajowych. M.in. trzykrotna nagroda „Polityki” za: „Bataliony Chłopskie”. „ZWZ-AK w Okręgu Lubelskim” (książkę napisaną z Ireneuszem Cabanem) oraz „Między Wisłą a Bugiem 1939-1944”; dalej kilka nagród przyznanych przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego, ministra obrony narodowej (za książkę „GL i AL na Lubelszczyźnie”), Nagroda „Trybuny Ludu”, nagroda Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie za wkład w badania nad dziejami regionu... Nie wspominam tu już o osiągnięciach wieloletniej pracy pedagogicznej, o funkcji kierownika Zakładu Historii Najnowszej UMCS, o licznych funkcjach społecznych.

- Tak szczerze mówiąc, nie od razu zakrzętnąłem się w Lublinie, po swoim tutaj przyjeździe, wokół badań naukowych i pisarstwa historycznego. Lecz tu nie obejdzie się bez

dygresji: ja należę do ludzi, którzy na ogół łatwo adaptują się do nowych warunków, ale muszą napotkany układ rozpoznać i wejść w nim w pełną symbiozę. No więc w pierwszych moich lubelskich latach proces ten zaabsorbował mnie niemal całkowicie. Poznałem wielu ludzi, a moja społecznikowska pasja, temperament, moja ruchliwość popchnęły mnie do działań, szczerze mówiąc, raczej w sferze kultury (ruch dyskusyjnych klubów filmowych, działalność w domach kultury, teatr, środowisko plastyczne, no i współpraca z „Kameną”, trwająca nieprzerwanie od 1957 r. po dzień dzisiejszy). A także do działań - trochę wstydzę się przyznać - w sferze Sztuki...

- Aż tak?!

- Niestety! Bo widzisz, oto na przykład wiele miesięcy straciłem wówczas na pisanie dla sceny „Reduta 61”. Prowadzonej przez Machulskich w Teatrze im. Osterwy, bardzo „ambitnie” i „nowocześnie” zamierzonej sztuki pod tytułem „Złom żelazny”. Tytuł nawiązywał do słynnego zdania z wiersza Tadeusza Borowskiego: „Zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń”.

- To miało być coś w rodzaju teatru faktu?

- Tak. Miała to być rzecz napisana na trzy monologi akowców, którzy - podobnie jak Maciek Chełmicki - dostali się w tryby historii u progu Polski Ludowej. Rzecz dzieje się w jednym pokoju jakiegoś mieszkania w miejskiej kamienicy; kontrapunktem dla rozterek bohaterów i wypowiedzianych przez nich kwestii jest - dobiegający spoza sceny - głos ulicznego megafonu, nadającego propagandowe teksty PKWN... Ogromnie się do tej pracy zapaliłem. Niestety ten mój zapał zaczął przygasać, gdy niezrównany kawalarz Kazimierz Spólnicki z „Kuriera Lubelskiego” począł mnie „wspomagać artystycznie”, przesyłając mi pocztą, co kilka dni w paczkach „tworzywo” do sztuki - autentyczny złom żelazny!

- Żałujesz tamtego „zmarowanego czasu”?

- O nie! Wyżyłem się wówczas społecznie i kulturalnie, poznałem wielu ciekawych ludzi, doznałem wiele. Jednak w pewnym momencie odczułem, że „sypie się” moja kariera naukowa. Porzuciłem więc to wszystko i „ruszyłem do ksiąg”. Wróciłem do trudu historyka

- To powiedz teraz, dlaczego zostałeś właśnie historykiem?

- Sprawa jest nieco złożona. Przecież ty sam nieraz stwierdzałeś, że w gruncie rzeczy ja mam w dużej mierze temperament dziennikarza. To prawda, że pociąga mnie publicystyka i eseistyka. Ale przecież zawód historyka mieści się w kręgu szeroko pojętej humanistyki. A ta wręcz obliguje do pisania adresowanego do szerokiego kręgu odbiorców. Nie rezygnując więc z rygorów pisarstwa naukowego, historii należy zarazem opisywać w sposób niegubiący barw, klimatów i odcieni, wyjaśniający, w możliwie najprostszy sposób, zawile sprawy zaszłości. Tak właśnie pisali wielcy historycy: Kalinka, Askenazy, a obecnie Kieniewicz. A

wracając do twojego pytania, mogę ci powiedzieć tylko same truizmy: historia jest pasjonującą dziedziną poznania ludzkiego, jest skarbnicą bezcennych doświadczeń wielu pokoleń, zaspokaja naturalną ciekawość człowieka, „jak to dawniej bywało”, daje wzorce osobowe itp. itd. Czy wiesz, że wybitny francuski historyk Bloch pisał, iż gdy rekonstruował życie jednego z królów francuskich, to w zaciszu swojego gabinetu słyszał wyraźnie głos dzwonów obwieszczających jego koronację? Czy dasz wiarę, że kiedy zdarzy mi się spacerować po naszym Starym Mieście ze wspaniałym, wrażliwym artystą plastykiem, Włodzimierzem Hessem, to wydaje mi się, że za chwile spotkamy Klonowca, Biernata, Kochanowskiego lub dobiegnie nas gwar średniowiecznego jarmarku? Ja zawsze, pisząc o przeszłości, staram się z nią maksymalnie utożsamiać. I to, jak mi się wydaje, powinno stanowić w całości odpowiedź na to pytanie, dlaczego historykiem zostałem i dlaczego historia mnie pasjonuje.

- A co najbardziej interesuje cię w historii?

- Przede wszystkim ludzie. Może to zabrzmieć nadmiernie patetycznie, ale interesują mnie najbardziej prości ludzie: ten w gruncie rzeczy bezimienny „tłum”, któremu ludzkość zawdzięcza prawie wszystko. To on ów „tłum”, jest prawdziwym bohaterem historii. Właśnie o tym napisałem we wstępie, a przede wszystkim w tekście nowej książki „W kręgu polskich doświadczeń historycznych XIX i XX w.”. Bohaterami tej książki są właśnie chłopci, plebs, robotnicy: ich praca, ich żywiołowe dążenia, postawy, predylekcje, nadzieje, cierpienia, ich życie...

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 1, s. 3.